



POD ANIOŁAMI

Ten dom nie wygląda młodo – to komplement. Choć ma niewiele ponad sześć lat, panuje w nim atmosfera tradycji, niczym w wiekowej rodzinnej siedzibie. Wydaje się, że solidna dębowa, bynajmniej nie zniszczona podłoga za chwilę przyjaźnie zaskrzypi... Po wewnątrz leniwie snują się opiekuńcze duchy. To dzięki nim – a także za sprawą intuicji, smaku i charyzmy właścicieli – ludzie oraz zwierzęta czują się tu dobrze i bezpiecznie.

W pewnym sensie byli prekursorami – budowę rozpoczęli jako jedni z pierwszych w swoim środowisku. Wśród ich rówieśników, ludzi po trzydziestce, mało kto wówczas o tym myślał. Ona niechętnie myślała o wyprowadzce z miasta, on nie chciał słyszeć o niczym innym. Rozkochany w polskich krajobrazach, „człowiek z liściem na głowie”, od zawsze ponad spędzanie wolnych chwil przed ekranem telewizora przedkładał wędrówki po puszczy.

Był rok 1995 – za pomysłem Piotra przemawiały też argumenty ekonomiczne: „duża ulga” budowlana w rozkwicie, niskie koszty budowy metra kwadratowego domu w stosunku do rynkowych cen warszawskich mieszkań. Beata dała się przekonać.

Krajobraz przed bitwą ■ Zaczęło się od działki – pięknej, częściowo otoczonej starą ceglany murem, od południa „opartej” o las. Przy jej zachodniej granicy – stary klon w towarzystwie kilku mniejszych drzew i zagładającego z sąsiednich parceli starodrzewu. Teren położony jest w zacisznym miejscu, na końcu kilkudziesięciometrowej ślepej uliczki. To działka z gatunku tych, na których cokolwiek postawisz, będzie wyglądało dobrze – pierwsze skrzypce i tak grają tu drzewa.

Beata i Piotr nie chcieli jednak budować „czegokolwiek”. Szukali projektu domu „z korzeniami” – niewybujalego, osadzonego w tradycji, czyli takiego, który symbiotycznie zrośnie się z przy-



Ten anioł – jeden z kilku
mieszkających na komodzie w salonie
– strzeże dębowych schodów
(poniżej)

Jasną kuchnię – na dolnych
zdjęciach – dodatkowo rozświetlają dwa okna;
jedno z nich, niewidoczne na zdjęciu,
to narożne okno balkonowe
z wyjściem na taras od południa



rodą. Poprzeczkę zawiesili sobie wysoko. „Wolałam zamieszkać w domu nawet nie całkiem wykończonym, ale skrojonym na miarę naszych potrzeb niż, kierując się jedynie ceną, wybrać projekt typowy, w którym zawsze coś będzie mi przeszkadzało” – mówi Beata. To jej przypadło w udziale przeglądanie dziesiątków katalogów, co z pewnością przez jakiś czas może być frapujące, traci jednak urok, gdy wśród 200 obejrzanych projektów żaden nie okazuje się być tym jednym.

Polecony przez rodzinę architekt przedstawił dwie zasadnicze koncepcje: budynek parterowy – taki preferowała Beata – i większy, z poddaszem użytkowym, o znacznie bardziej rozbudowanym programie funkcjonalnym. Ten pierwszy sam zresztą odradzał ze względu na rozmiar działki – 830 m². Drugi, przy wszystkich zaletach domu o zwartej bryle, miał jeszcze jedną – czteroosobowa rodzina mogła w nim zamieszkać na parterze, na później odkładając wykończenie poddasza. Taka możliwość była jednym z założeń przedsięwzięcia; szczęśliwie skorzystanie z niej nie okazało się konieczne.

Inwestorzy pozostawili architektowi wiele swobody. Projekt domu jest – jak twierdzą – jego dziełem autorskim. To architekt przekonał ich do większej powierzchni pomieszczeń, on też zaranżował ich układ i zaprojektował rozwiązania komunikacyjne. Beata i Piotr przyznają się do autorstwa detali; są to jednak szczegóły decydujące o charakterze i klimacie ich siedziby. Piękne narożne, nisko osadzone okna w oprawie ciemnej stolarki – otwierające przestrzeń domu na otoczenie i poddające ją pieszczocie światła słonecznego. Ujęta w konstrukcję drewnianych belek, gipsowo-kartonowa obudowa balustrady na podeście piętra – nieoczekiwanie oryginalny skutek banalnej obawy o bezpieczeństwo dzieci. „Symultaniczna” łazienka dziewczynek, dostępna



Autorką projektu
tego pieczołowicie wykonanego
okapu, a także – zabudowy
kuchni i wielu innych
ciekawych rozwiązań w budynku
jest architekt wnętrz
Małgorzata Markiewicz

Beata Ciacek ©



z obydwu ich pokoi. Wreszcie sam sposób posadowienia domu: nisko, na poziomie ziemi, co sprawia, że ogród „wlewa się” do wnętrza. Tak się w Polsce domów nie stawia, bo wilgoć i mrówki, a przede wszystkim – pokutujący od lat przesąd, że wejście do „willi” ma być paradne, po co najmniej pięciu stopniach. Tu, ze względu na piaszczysty grunt, nie groziło zawilgocenie, groźba inwazji mrówek też nie stanowiła argumentu – te uparte owady potrafią pokonać znacznie wyższe przeszkody, niż niski próg parteru.

Od szkiców do czynów

Budowa ruszyła w 1998 roku i od pierwszej chwili przebiegała nadzwyczaj sprawnie. Do

tego stopnia, że inwestorom, pozbawionym praktycznego doświadczenia w budowaniu, trudno było dotrzymać kroku błyskawicznie rozwijającej się sytuacji. Rozpoczął się okres logistycznych rebusów, gorączkowych konsultacji, nocnego planowania kontaktów i kinkietów, rozrysowywania układu glazury i terakoty... Wypłynęły pierwsze błędy: w połaci dachu nad frontową elewacją nie zmieściły się trzy, zaprojektowane wcześniej „wole oczka” – dworkowe lukarny o miękkiej, organicznej formie. Szeroka konstrukcja okien tego typu wymaga szczególnie dużo przestrzeni. Beata i Piotr z żalem zastąpili je trójkątnymi atrapami – od wewnątrz wyglądają na szczęście tak samo. Kolejnym kikssem okazało się jedno z okien w ścianie szczytowej – pod koszem dachu zmieściło się dopiero po przesunięciu w stosunku do zaprojektowanego.

Oba błędy wyszły spod ołówka architekta; ekipa budowlana – wznosząca dom od stanu surowego, aż po etap wykończenia –

okazała się profesjonalna. Sprawdził się system jednopodmiotowej koordynacji prac. Osobiście odpowiedzialny za całość przedsięwzięcia szef firmy budowlanej, nadzorując wykonanie dowolnego etapu, sam przygotowywał sobie podwaliny pod kolejny. Robotnicy toczyli męzną, nierówną walkę z najazdem komarów. Budowę zakończyli po pół roku – kolejne Boże Narodzenie rodzina spędziła już przy własnym kominku.

Solidne ściany trójwarstwowe (pustak Max, 10 cm styropianu, cegła pełna) zwieńczył naczółkowy dach, pokryty gontem bitumicznym. Od strony ogrodu poddasze wspierają słupy konstrukcyjne, konieczne tu ze względu na przeszklenie narożników parteru. Prostą bryłę budynku urozmaica kilka uskoków elewacji, które przestrzeń wokół niego zorganizowały w sekwencję przytulnych zakątków.

Przestrzeń wypełniona

Dom ma 175 m² powierzchni mieszkalnej. Parter, z centralnie umiejscowioną niewielką sienią, mieści obszerny 30-metrowy salon, ukrytą za masywnym, otwartym kominkiem kuchnię z jadalnią, gabinet i pokój dla gości. Piękne, jednobiegowe dębowe schody o ażurowej konstrukcji wprowadzają na piętro. Tam, z nietypowo rozwiązanego podestu – w postaci podłużnej galeryjki – doświetlonego oknem w szczytowej ścianie budynku, wiodą drzwi do trzech sypialni: dwóch dziecięcych, dużych i jasnych, połączonych wspólną łazienką, oraz trzeciej, należącej do rodziców – mniejszej, wypełnionej sennym nastrojem i rozproszonym światłem, sączącym się przez niedużą, wpuszczoną głęboko w mur lukarnę. Jest tu też większe okno od południa, niczym obraz ujmujące w swe ramy zieleń pobliskiej ściany lasu.

Na stronie obok: otwarty kominek
 porządkuje rozległą przestrzeń parteru
 – oddziela od salonu obszerną, połączoną z kuchnią jadalnię.
 Jego masywna bryła przestania kuchenne,
 „robocze” zaplecze

Poniżej – wnętrza na poddaszu:
 nastrojowa, połączona z dużą łazienką sypialnia gospodarzy
 i rozjaśniony błękitem na ścianach
 pokój ich starszej córki



Dom jest obszerny, a jednak wypełniony po brzegi. Jego wnętrza „obrośnięte” jest roślinnością – trudno oprzeć się wrażeniu, że na donice wykorzystano każdy skrawek poziomej powierzchni. Meble – leciwe i spatynowane, odziedziczone lub przygarnięte z targów staroci – dobrano tu z pietyzmem, ale nie traktuje się ich ze szczególnym nabożeństwem; służą po prostu do życia. Panoszą się na nich koty i dzieci, zalegają dziesiątki nieuporządkowanych, a ważnych drobiazgów. Na ścianach – obrazy, obrazki, dziecięce rysunki, zdjęcia – niemal wszystko autorstwa domowników, ich dalszej rodziny i przyjaciół. Wolne kwatery zajmują anioły, zaliczane, jak można przypuszczać, do grona rodzinnego. Ich sylwetki wyłaniają się spomiędzy liści, a spokojne spojrzenia błędzą po wnętrzach, omiatając sprzęty.

Nie mało miejsca wygospodarowały sobie zwierzęta: dwie żółte suki – mama z dorosłym (i rosnącym) dzieckiem, dwa koty, a także liczna drobna fauna, pozostająca pod opieką córek gospodarzy, Małgosi i Basi: zadomowione żółwie i rybki.

Zgodnie z planem i z naturą

Ogród ma już kilka lat; jego koncepcja rodziła się pod koniec budowy. Beata z Piotrem

zdecydowali się zamówić projekt, ponieważ szczególnie zależało im na czasie. Jakkolwiek brali pod uwagę gotowanie w nie do końca zagospodarowanej kuchni, czy tymczasowe oświetlenie w postaci gołych żarówek, na ogród czekać nie chcieli. Chodziło im też o to, by przestrzeni wokół domu nadać spójny charakter, nie angażując się w czasochłonne amatorskie eksperymenty.

Architekt krajobrazu – młody pasjonat – wypełnił zadanie bez zarzutu. Na kanwie istniejących drzew i murowanego ogrodzenia

Beata Ciacek ©





Niemal wszystkie pomieszczenia parteru mają bezpośrednie połączenie z ogrodem; powyżej – wyjście z jadalni



Latem pergolę przy ceglany grillu porasta winorośl; to wspaniałe miejsce na popołudniową herbatę

zaplanował zielen, nawierzchnie oraz elementy ogrodowej architektury, które naturalnie zrosły się z otoczeniem, uwydatniając urodę miejsca i ukrywając jego niedostatki. Powiększył i zdynamizował ogród wizualnie, dzieląc strefę wypoczynkową w sposób diagonalny względem rzutem domu. Mur polecił obsadzić hortensją – pięknie kwitnącym pnączem. Zaproponował budowę sadyb roślinnych z podkładów kolejowych, którymi przeplótł również ścieżki z szarej kostki brukowej. Naturalną konsekwencją niskiego posadowienia domu było wykorzystanie tejże kostki jako nawierzchni tarasu – od strony ogrodu „rozlewa” się ona po prostu w nieco szerszą, przylegającą do salonu i pokoju gościnnego płaszczyznę.

Tak zaprojektowane założenie wymagało sprawnych działań: dowiezienia kilku ton ziemi, ukształtowania terenu, posadzenia wielu roślin – musiało więc znaleźć fachowego wykonawcę. Projektant wskazał odpowiednią osobę – tempo i efekt prac pod jej kierunkiem były doskonałe. Ogród rodził się w oczach (trawnik rozwinięto z rolki), a panowie skutecznie walczyli z materią. Jeden z nich, człowiek nieco lękliwy, podjął przy tym batalię obronną z dużą i energiczną, choć z natury łagodną suką inwestorów. Wojował z pomocą piły łańcuchowej, czym doprowadzał zwierzę do furii; na szczęście obyło się bez ofiar.

Ogród – podobnie jak dom – robi wrażenie dojrzałego, niż jest w istocie. Dzięki przemyślanej koncepcji znalazło w nim miejsce wiele funkcji, a podział na zakątki wydaje się niewymuszony i organiczny. Rosną tu krzewy owocowe, piękne rośliny cieniulubne i kobierce odmian płożących. Jest zielnik – chwilowo przeorany przez psy – a także pergola, opleciona bujnie owocującą od roku winoroślą. Zmienność widoków, zgodna z przemijaniem pór roku, zapewnia liczna rodzina roślin liściastych. Jest tu wszystko, o czym można zamarzyć zimowym porankiem czy wczesnym letnim wieczorem.

Agnieszka Rezler